

Beata Szymańska: Na początku tej rozmowy chcę z całą mocą powiedzieć, że nie będę odpowiadała na pytania o daty. Nigdy ich nie pamiętałam, dobrze mi z tym i nie zamierzam tego zmieniać. Bardzo rzadko myślę o tym, co było, jeszcze rzadziej o tym, co będzie. Mając do wyboru odczuwanie czasu lub przestrzeni, wybieram przestrzeń, a może raczej konkretne miejsca.

Kajetan Maria Jaksender: Jak się Pani znalazła w Krakowie?

B. S.: To będzie trochę nawiązanie do poprzedniej wypowiedzi: o przestrzeni. Otóż nie jestem z Krakowa. Szybko dodam, że jest to najlepsze miejsce na świecie, oprócz może paru innych miejsc, w Europie i gdzie indziej. Urodziłam się w Puławach, a dokładnie w Lublinie. Jeśli nie wiadomo, co to znaczy, to jest to pierwsze zamieszanie przestrzenne. Ale do szkoły poszłam w Tymbarku, gdzie też pierwszy raz zobaczyłam góry, które mnie ogromnie zadziwiły, i tak pozostaje do dzisiaj. Pewnie dlatego chodzenie w góry uważam za rzecz wielkiej wagi. To była bardzo miła szkoła, ale nie zdążyłam się do niej przyzwycząić, ponieważ wraz z rodzicami przeniosłam się do Krakowa, który też mnie zadziwił i także zadziwia do dzisiaj. Kolejny rok szkolny rozpoczęłam w Pustkowie, małym miasteczku koło Wrocławia. Już przestałam się dziwić i zaczęłam przyzwyczajając się do tego, że wszystko jest zmianą, a jedyna związana z tym trudność to stała utrata świeżo zdobytych przyjaciół. A poza tym, że ważniejsza jest przestrzeń, w której się żyje, niż czas (zresztą na przestrzeń możemy mieć jakiś wpływ, czas jest w nieprzyjemny sposób od nas niezależny).

K. M. J.: I jak się Pani życie rozprzestrzeniało potem?

B. S.: Potem udało mi się pomieszkać trochę dłużej w Jaworznie, do którego do tej pory mam duży sentyment, dopóki w połowie pierwszej klasy gimnazjalnej nie zjawiłam się znowu w Krakowie. To było mocne doświadczenie. Po miłych (i zupełnie dobrych) prowincjonalnych szkołach, gdzie bez trudu utrzymywałam pozycję pierwszej i najlepszej uczennicy, znalazłam się w ambitnym VI Gimnazjum im. Mickiewicza, w którym nagle moja wiedza okazała się zupełnie niewystarczająca, a moja prowincjonalność nieco wyśmiewana. Pierwszy raz musiałam – jak to się mówi – podjąć wyzwanie i walczyć o utracony honor i urażoną ambicję; dopiero po dwóch latach poczułam się pewniej. Zresztą szkoła była świetna, ale – co najważniejsze – znalazłam tam przyjaciółki, które mam do dzisiaj. Czy może być coś lepszego?

K. M. J.: Od przyjaźni z czasów szkolnych, które przetrwały do teraz? Nie może. To kwintesencja przyjaźni. Bo rozumiem, że to były czasy przyjaźni maturalnych, prawda? Co było potem?

B. S.: Tak, to były czasy matur. Po maturze zdecydowałam się na studia na polonistycę, chociaż najpierw złożyłam dokumenty na biologię, a myślałam też o fizyce. Zresztą po rozpoczęciu studiów polonistycznych chodziłam przez jakiś czas na wykłady i na biologii, i na fizyce, gdzie wykładali znakomici profesory. *Nota bene*, mój pierwszy opublikowany artykuł naukowy, napisany w czasie, kiedy pracowałam już na filozofii,

był pisany wspólnie z fizykiem i filozofem, a później politykiem Mirosławem Dzielskim i dotyczył właśnie pewnych kwestii z filozofii fizyki. Do dziś się temu dziwię...

K. M. J.: Studentka polonistyki pisząca artykuł z pogranicza filozofii i fizyki... Muszę powiedzieć, że o czymś takim jeszcze nie słyszałem. A jak było z życiem metafizycznym?

B. S.: Okres moich studiów polonistycznych to czas bardzo ożywionego życia studenckiego; po roku 1956 (jednak jakaś data!) dzieje się bardzo dużo: to czas „Piwnicy pod Baranami”, to „Teatr 38”, pierwsze naprawdę wspaniałe juwenalia i wreszcie działalność ówczesnego Klubu Studenckiego „Żaczek”. We wszystkich tych przedsięwzięciach brałam oczywiście żywy udział.

K. M. J.: Prowadziła Pani aktywne życie studenckie czy raczej żyła na uboczu?

B. S.: W tym czasie uczestniczyłam w prowadzonych przez Jerzego Ronarda Bujarskiego (świątecznego aktora i reżysera) warsztatach teatralnych i właśnie tam porzuciłam ostatecznie – rozwijane od początku lat szkolnych – ambicje aktorskie, gdyż dzięki niemu – i za to jestem mu naprawdę wdzięczna – zrozumiałam, że mój talent w tym kierunku nie jest tak znakomity jak powinien być, jeśli na serio podejść do sprawy. Natomiast bardzo poważnie zaczęłam traktować wyzwania poetyckie.

K. M. J.: No właśnie, jak się zaczęła Pani przygoda z poezją?

B. S.: Wiersze pisałam właściwie od zawsze, w naszej rodzinie uważano to za oczywistość, przywołując w razie familijną tradycję: mojego pradziadka – pisarza, dramaturga i dyrektora teatru we Lwowie Mariana Gawalewicza. Związane z jego postacią dramatyczne wydarzenia: jego skandalizujące relacje z Gabriellą Zapolską (jeszcze do niedawna nie można było w naszej rodzinie wspominać o „tej aktorzy”); tragiczna śmierć jego córki, utalentowanej poetki, wzbogaciły ową tradycję o przekonanie, że ktoś uprawianie literatury powinien kontynuować (niestety, jak się przekonałam, czytając książki pradziadka, były to dzieła dość grafomańskie).

K. M. J.: Występowała Pani gdzieś publicznie? Pokazywała swoje literackie próby?

B. S.: W „Żaczku” działał klub literacki, gdzie czytaliśmy swoje wiersze i bardzo poważnie o nich dyskutowaliśmy. Oczywiście wszyscy chcieliśmy publikować swoje dzieła, co nie było wcale proste. W Krakowie było kilka czasopism drukujących stale poezje, przede wszystkim „Życie Literackie” (dział poezji redagowała Wisława Szymborska), także niedzielne dodatki do „Dziennika Polskiego”. Piszących było jednak oczywiście wielu, a redaktorzy surowi. Tak więc pierwsze publikacje właśnie w tych czasopismach spowodowały wzrost ambicji: „teraz tomik!”.

K. M. J.: No dobrze, więc teraz pytanie oczywiste genealogicznie. Pamięta Pani swój literacki debiut?

B. S.: Debiutowałam dość nietypowo tomikiem zbiorowym. Razem z moimi kolegami: Wincentym Faberem, Mieczysławem Czumą i Leszkiem Moczulskim opublikowaliśmy w Wydawnictwie Literackim tomik zatytułowany *Próba porównania*. Była to moja pierwsza książka poetycka, po niej było ich jeszcze kilka, w tym jeden zbiór opowiadań pod tytułem *Opowiadania*. Później zostałam członkiem (a następnie przewodniczącą) „Koła Młodych” przy ówczesnym Związku Literatów Polskich, a później

członkiem tego związku... Obecnie jestem członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W tamtych czasach w „Żaczku”, a także w innych miejscach w Krakowie, odbywały się wieczory poezji, ze sporą liczbą uczestników, bo wtedy byli czytelnicy, odwrotnie niż dziś...

K. M. J.: Proszę wytłumaczyć.

B. S.: Nie ma czego tłumaczyć, bo to jest jasne. Kiedyś trudno było opublikować wiersze, teraz każdy jest poetą. Kiedyś za to łatwo było znaleźć czytelnika, a dziś każdy mógłby być czytelnikiem, lecz nikt tak naprawdę nim nie jest...

K. M. J.: Co wobec tego pani sądzi o śmierci autora? Ten modny swego czasu szlagwort jest i dziś zagadnieniem bardzo często poruszonym. Ponieważ mówiąc o poezji, mówimy *implicite* także o Pani jako autorze, chciałbym zapytać o tę kwestię.

B. S.: Ja bym powiedziała o śmierci czytelnika, bo autor się narodził i rozplenił tak bardzo, że dziś wszyscy są autorami, natomiast nikt ich nie czyta... Kiedyś było odwrotnie – ludzie chcieli czytać, a mieli utrudniony dostęp do książek. Cóż, nastaly marne czasy dla autorów, bo dziś właściwie każdy, kto chce, może wydać książkę, choć jeszcze dwadzieścia lat temu nikt chyba w Polsce nie pomyślałby o tym. A przecież Internet to królestwo autora.

K. M. J.: Tak zwany „wzorcowy czytelnik” Eco jest trupem?

B. S.: Jakoś tak. Trzeba się teraz zastanowić nad teorią wzorcowego autora... Ale wracając do historii: była wówczas moda na wyjazdowe spotkania literackie, które odbywały się na prowincji, w instytucji dziś najczęściej upadłej, chociaż trochę jej szkoda – w tak zwanych domach kultury. To były dziwne imprezy, czasem bardzo udane, czasem śmieszne...

K. M. J.: Jak w jednym opowiadaniu Hłaski, gdzie poważnego poetę niepoważny chłop pyta, czy to prawda, że człowiek wziął się od „małpy” i ten stara się mu wytłumaczyć fenomen natury...

B. S.: To jest dobry przykład. Kiedyś na jedno z moich spotkań zapędzono dzieci z klasy drugiej szkoły podstawowej i trzeba było wybierać inne wiersze, niż się zazwyczaj czyta...

K. M. J.: ...do rymu (*śmiech*).

B. S.: Tak, do rymu. Te wszystkie zajęcia nie przeszkadzały mi w poważnym traktowaniu studiów polonistycznych. Wykładali wtedy znakomici profesorowie: Kazimierz Wyka, Stanisław Pigoń, Maria Dłuska, Zenon Klemensiewicz. W tym czasie interesowałam się najpierw językoznawstwem, potem jednak historią i teorią literatury. Przez niemal cały okres studiów należałam do grupy seminaryjnej prowadzonej przez profesora Wykę, i to on właśnie zasugerował mi, żeby podjąć równoległe studia na uruchomionej wtedy w Krakowie filozofii, i także to on skierował mnie do profesora Romana Ingardena, który przyjął mnie na pierwszy rok studiów już w trakcie roku akademickiego.

K. M. J.: A co z polonistyką?



B. S.: Polonistykę ukończyłam, pisząc pracę magisterską z bardzo miłego okresu literackiego: oświecenia. Jej tematem była korespondencja Ignacego Krasickiego (promotorem pracy był profesor Piszczkowski). Ponadto oczywiście kontynuowałam studia filozoficzne.

K. M. J.: Ciekawe były to studia? Ciekawsze niż filologia?

B. S.: Na filozofię przyjmowano wtedy niewielu studentów, około dziesięciu osób na rok, dlatego zajęcia z mojego roku były łączone z tymi, które obowiązywały także na roku wyższym. Dlatego moimi kolegami ze studiów byli Józef Tischner, Jan Szewczyk, Adam Węgrzecki, a na moim roku byli między innymi Andrzej Wroński, Joanna Turowicz, no i Jerzy Aleksandrowicz, mój przyszły mąż.

K. M. J.: O proszę. Niespodzianka. A co z wykładowcami? Były to czasy bodaj najbardziej znanego polskiego filozofa, Romana Ingardena.

B. S.: Wykładowcami byli między innymi profesorowie: Roman Ingarden, Izydora Dąmbska, Jan Leszczyński. Logikę wykladał profesor Kazimierz Pasenkiewicz, seminaria prowadzili Maria Gołaszewska, Danuta Gierulanka, Władysław Stróżewki, Andrzej Półtawski. Ponieważ było nas niewielu, byliśmy bardzo zżyci z naszymi wykładowcami i często uczestniczyliśmy w nieformalnych spotkaniach i rozmowach. Pracę magisterską, której temat sytuował się na pograniczu literatury i filozofii (te „pogranicza” określają mnie po dziś dzień), pisałam u profesora Leszczyńskiego, znajomego i przyjaciela Stanisława Ignacego Witkiewicza. Oczywiście praca dotyczyła filozofii Witkiewicza.

K. M. J.: Co się działo po studiach? Pracowała Pani na uniwersytecie od razu po obrobie pracy?

B. S.: Po ukończeniu obu kierunków przez dłuższy czas nie mogłam znaleźć zajęcia (nie było to wcale takie łatwe dla humanisty), podjęłam więc pracę w Pracowni Bibliografii Polskiej Karola Estreichera, gdzie wielu polonistów znajdowało okresowe zatrudnienie. Siedziało się w Bibliotece Jagiellońskiej, w której kwitło życie towarzyskie, w słynnym bufecie prowadzonym przez słynną wówczas Panią Zosię. Było to bardzo pouczające doświadczenie, bo do mojego zakresu zajęć należało przeglądanie prasy z całego XIX wieku, począwszy od paryskiej prasy emigracji doby romantyzmu, aż po przełom XIX i XX stulecia. Całkiem sporo się nauczyłam, a umiejętność tworzenia bibliografii przydaje mi się do dziś. W tym czasie otrzymałam bardzo zaszczytne stanowisko urzędnika Wydziału Kultury w Miejskiej Radzie Narodowej. Miało to swoje dobre strony – uczestnictwo w premierach teatralnych i wernisażach – ale jakoś życie urzędnicze nie wydawało mi się zbyt urozmaicone.

K. M. J.: Próbowwała Pani znaleźć coś bardziej urozmaiconego?

B. S.: Dość długo próbowałam też zajmować się dziennikarstwem, pracowałam dorywczo w kilku redakcjach, co było niezbyt dochodowe, ale poza przyjemnością zdobywania nowego zawodu uprawniało do korzystania ze słynnej w swoim czasie stolówki w Klubie Dziennikarza „Pod Gruszką”. Wreszcie zupełnym zrządzeniem losu otrzymałam roczny staż asystencki na filozofii, i tak już zostało.

K. M. J.: Czyli wróciła Pani do siebie i do „starych” znajomości?

B. S.: Kiedy zaczynałam pracować na filozofii, to była już zupełnie inna instytucja niż ta, na której zaczynałam studia. Nie było już profesorów Ingardena i Dąbskiej, odsunięto Danutę Gierulanę. Filozofia nie mieściła się wtedy na ulicy Grodzkiej, ale na ulicy Piłsudskiego, wówczas Manifestu Lipcowego, pod numerem trzydzieści.

K. M. J.: I jak wyglądał harmonogram zajęć? Prowadziła Pani wykłady, tak jak dziś?

B. S.: Od razu otrzymałam pełny wymiar zajęć dydaktycznych; powiedziano mi, że mam po prostu iść i prowadzić ćwiczenia. Pierwsze zajęcia miałam na polonistyce i oczywiście bardzo się bałam. No, ale jakoś poszło, a z tamtych moich pierwszych studentów do dziś zostało mi wielu obecnych znajomych i przyjaciół.

K. M. J.: Wróćmy jednak na chwilę do studiów. Czyli prawdą jest, że – jak opowiada profesor Stróżewski – Ingarden był sławą i to był tak zwany główny nurt. Przyjeżdżali do niego zewsząd i on wyjeżdżał bardzo często. Miał już wtedy swoich uczniów i sam był sławny na całą Europę. Nawet jeśli nie na całą Europę, to zapewne był sławą, a fenomenologia była czymś niezmiernie wielkim i ważnym. Pani natomiast pozostawała na pograniczach?

B. S.: Tak, cała moja droga naukowa do dziś to pogranicza. Nie twierdzę, że jest to uprawianie prawdziwej czy wielkiej filozofii klasycznej. Na szczęście wielu moich uczonych kolegów znakomicie ten nurt kontynuuje. Ale pogranicza są bardzo inspirujące. Właśnie tam można zobaczyć pewne problemy w nowym świetle. Przecież takim pograniczem jest też to, czym zajmuję się teraz – porównywanie zachodniej filozofii

z myślą Dalekiego Wschodu. Ileż rzeczy, które do tej pory wydawały mi się oczywiste, nagle okazują się prawdziwą zagadką!

K. M. J.: Rozumiem, że pisała Pani w tym czasie doktorat?

B. S.: Oczywiście. Także moja praca doktorska sytuowała się na pograniczu filozofii i literatury. Promotorem był profesor Zbigniew Kuderowicz, a jej tematem były poglądy filozoficzne nieco już zapomnianego, ale bardzo interesującego poety, tłumacza i eseisty, działającego na przełomie XIX i XX wieku, Antoniego Langego. Od razu powiem może, że ten okres przełomu antypozytywistycznego był również tematem książki, która stała się podstawą habilitacji, a która w wersji „habilitacyjnej” nosiła tytuł „Przeżycia i uczucia jako wartości w filozofii polskiego modernizmu”. Jej rozszerzona wersja została potem wydana w Ossolineum pod tytułem *Mistycy i pesymiści*.

K. M. J.: Fakt, same marginesy albo pogranicza...

B. S.: Właśnie tak: moja ostatnia książka, *Kultury i porównania*, to znowu pogranicza – tym razem kulturowe.

K. M. J.: Pani profesor Barbara Skarga powiedziała kiedyś w którymś wywiadzie, że brak nam dziś wyjątkowych, naprawdę poważnych dzieł filozoficznych. Pisze o Derridzie, a jednak stawia najwyżej Heideggera, zna filozofię współczesną, na przykład Leszka Kołakowskiego, a jednak nie mówi, że taki znów wielki...

B. S.: Myślę, że to wielkie uproszczenie...

K. M. J.: Oczywiście racja, ale pozwólmy sobie na to uproszczenie. Więc Skarga powiada, że ostatnim wielkim dziełem, jakie czytała i jakie zrobiło na niej wrażenie, zmieniło ją, jest *Bycie i czas* Heideggera. To oczywiście trochę taki greps postużyć się książką jako swego rodzaju liczmanem, cezurą, bo przecież powstało wiele dzieł wielkiej rangi, niemniej jednak chodzi o to, że wszyscy pozostają pod urokiem Heideggera, są jego uczniami, że nawet ci, którym nie odpowiada jego projekt, są nim w jakiś sposób zarażeni... No bo należy powiedzieć, że dzieła Derridy, Deleuze’a czy Lacana to absolutny fundament współczesnej filozofii, ale jednak proszę się odnieść do tych słów i wytłumaczyć, dlaczego takie i takie dzieło, a nie inne. Jakie dzieło filozoficzne zrobiło na Pani wrażenie i czy takie dzieła powstały w ostatnich latach?

B. S.: No cóż, Barbara Skarga, *nota bene* recenzentka mojej pracy doktorskiej, ma w jakimś sensie rację, ale tylko w jakimś sensie. Być może nie powstało po egzystencjalizmie nic wielkiego. Ale to nie znaczy, że także dziś nie ma wybitnych filozofów. Oczywiście – znowu – wiele ciekawego dzieje się na pograniczach albo może lepiej: na „przecięciu”; weźmy na przykład Derridę. Jego *Marginesy filozofii*, o których pan wspominał są i z tytułu, i z gatunku pewną tego oznaką. Bo nawet poststrukturalizm to także w jakimś stopniu pogranicza. Mamy Jacques’a Lacana, a więc filozofującego psychiatrę i jego niebanalny wpływ na dzisiejsze czasy, zwłaszcza humanistykę, psychologię. Sądzę zresztą, że nie przypadkiem dzieje się tak, iż kiedy studenci filozofii chcą pisać pracę magisterską związaną ze współczesną koncepcją człowieka, to często zwracają się do teorii psychologicznych, od Freuda do psychologii humanistycznej.

K. M. J.: Faktycznie, ostatni Pani student, niejaki Jaksender, także pisał pracę z Freuda i Lacana, z koncepcji tożsamości...

B. S.: Zgadza się.

K. M. J.: No dobrze, powiedzmy więc tak: a jeśli chodzi *stricto* o literaturę?

B. S.: Nie chcę mówić o współczesności, bo to bardzo rozległy temat. Zresztą czasem trudno odróżnić, co jest aktualną modą, a co naprawdę przetrwa. Mogę podać przykłady – znowu trochę wspomnień. W czasach mojej młodości wielkim wydarzeniem, właśnie literackim, był Marek Hłasko. Dziś chyba mało kto go czyta. Modne były przekłady drugorzędnych pisarzy egzystencjalizmu, modna była na przykład François Sagan, dziś całkiem zapomniana. Bardzo cenione i czytane były poezje Jerzego Harasymowicza.

K. M. J.: A Szymborska, a Miłosz?

B. S.: Ja mówiłam o modach. A to są po prostu znakomici poeci.

K. M. J.: Wróćmy jeszcze na chwilę do tej filozofii: Lacan, Deleuze?

B. S.: Pamiętam, jak jeździłam na wykłady do Francji, do Paryża, zresztą to mi zostało, więc wtedy, na studiach, to były moje początki, miałam okazję i wielką przyjemność brać udział w wykładach kilku sław. Na Lacana już nie zdążyłam. Próbowałam dostać się na wykłady Lévi-Straussa, ale on był stale w podróży i często ktoś go tylko zastępował. Natomiast uczestniczyłam w seminariach komentatora Lacana...

K. M. J.: Ma Pani na myśli jego zięcia, Jacques'a-Alaina Millera?

B. S.: Tak, miał bardzo dobre wykłady. Wydaje mi się czasem, że lepiej przekazywał niektóre rzeczy od samego Lacana.

K. M. J.: Fakt, brałem udział w tych kilku jego psychoanalitycznych happeningach i przyznaję, że uśmiech nie zniknął z moich ust. Ale przeżyłcie duże.

B. S.: Poznałam za to Paula Ricoeura, ale to było w Polsce. Byłam wtedy prodziekanem Wydziału Filozoficznego, miałam więc sposobność bardziej bezpośredniej rozmowy. Może wspomnę tu o jeszcze jednym spotkaniu, jakoś związanym z pełnioną przeze mnie funkcją. Miałam szczęście poznać Matkę Teresę z Kalkuty, która odbierała w Warszawie przyznany jej przez naszą uczelnię doktorat *honoris causa*.

K. M. J.: A czy dziś Pani wyjeżdża?

B. S.: Tak, dosyć często i w różne strony świata.

K. M. J.: A na Wschód? Kiedy wyjechała Pani po raz pierwszy na Wschód?

B. S.: W latach 80. zaczęło do nas przybywać wielu mistrzów zen i nauczycieli buddyzmu tybetańskiego. Był to dziwny czas i kontakt z praktyką Wschodu pozwalał, przynajmniej do pewnego stopnia, oderwać się od dość podłej rzeczywistości. Wtedy też do Krakowa zaczął przyjeżdżać mistrz zen Seungh Shan, co dało wielu z nas możliwość poznania praktycznego aspektu buddyzmu zen, właśnie pod jego kierownictwem. Wtedy też zrodził się pomysł wyjazdu do Indii, co w tym czasie wydawało się trudno osiągalne. Ten pierwszy wyjazd do Indii, a także do Nepalu (trzeba przecież choć raz pochodzić po Himalajach), był bardzo pouczający, ale wcale niełatwy. Nie mieliśmy pieniędzy, trzeba było nocować w najtańszych hotelach i podróżować najniższą klasą

pociągów. Kto tego spróbował, wie, o czym mówię. Wtedy naprawdę poznaje się kraj, choć teraz chyba wolę nieco bardziej komfortowy sposób podróżowania.

K. M. J.: Więc wyjazd do Indii był pierwszą podróżą na Wschód? Były inne wyjazdy?

B. S.: Tak, ale ten był rzeczywiście pierwszy i chyba najbardziej niezwykły.

K. M. J.: Dobrze, przejdźmy teraz do innych przestrzeni. Jak udaje się Pani godzić poezję z filozofią?

B. S.: Z trudem. Przypominam sobie zresztą, że gdy poszłam z tomikiem poezji do Ingardena, to przeczytał go, ale powiedział mi, że mam dwie drogi i jedną muszę wybrać, bo poezja to jest wielka pani i filozofia tak samo, i wiem, że miał rację. Albo jedno, albo drugie, trzeba wybierać, niestety... Pisanie wierszy, moim zdaniem, wymaga uruchomienia jakichś innych części mózgu czy umysłu niż na przykład tych, które wykorzystuje się do pracy naukowej. Dlatego piszę wtedy, kiedy mam czas całkowicie wolny, przeważnie wakacyjnie i niedzielnie....

K. M. J.: Pani twórczość zaczęła się także pisaniem piosenek, mówiła Pani kiedyś o Ewie Demarczyk...

B. S.: A tak. Jedna z moich piosenek do muzyki Zygmunta Koniecznego była wykonywana właśnie przez Ewę Demarczyk w „Piwnicy pod Baranami”. Potem pisałam teksty dla grupy „Waweł”, i nawet ukazały się na płycie, ale dziś niechętnie się do tego przyznaję, choć nauczyłam się na pewno tego, że to dość okrutny rynek i biznes, z którym na szczęście nie muszę się wiązać.

K. M. J.: Czy wydała Pani coś wtedy?

B. S.: Tak, wydałam kolejne tomiki, w Wydawnictwie Literackim, i w sumie zostałam tam do teraz, choć rzadko, bo jestem poetką niedzielną...

K. M. J.: Dużo tego jest?

B. S.: Pięć, może sześć, plus tomik opowiadań... To wychodziło w małych nakładach, więc znikwały z redakcji i się sprzedawały.

K. M. J.: Pani profesor, zadam na koniec trudne pytanie: dlaczego uprawia Pani poezję?

B. S.: Odpowiem słowami mistrzów czan: poezja jest opowiedzeniem świata nie wprost. Gdy się mówi o czymś wprost, to już nie jest poezja, a że bardzo dużo mówi się wprost o wszystkim, to niewiele jest poezji. Poezja jest trafianiem nie wprost w to, co jest najważniejsze, w rzecz, w istotę. To świadczy także oczywiście o szczerości autora i samej poezji. Emocje byłyby pewnego rodzaju komunikatem albo drogą do uchwycenia czegoś, czego się chwycić nie da. Ta cała sfera byłaby sferą poznawczą i cały ten wątek byłby rozwijany w sztuce japońskiej i chińskiej, byłby docieraniem do sztuki poprzez emocjonalność, ale nie w sensie zachodnim, katartycznym, ale traktującym emocje jako pewną drogę poznawczą.